

Od szeregu lat z Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych napływały niepokojące wiadomości – Hindusi, Koreańcy, Japończycy, Chińczycy tłumnie wdzierają się na naukowy Olimp, zdobywają również zbyt wiele posad w systemie sądowniczym, w medycynie, nie wspominając o zawrotnych sukcesach w biznesie. Ich przeciętne zarobki są często nie tylko znacznie wyższe niż czarnych i Latynosów, ale biją na głowę zarobki białych. Teraz wyłonił się nowy problem – jest za dużo „Azjatów” na najlepszych uczelniach i w najlepszych szkołach średnich. (W tym przypadku określenie „Azjaci” nie obejmuje oczywiście Arabów, Pakistańczyków, Irańczyków czy Turków.)



Pierwszy złowieszczy sygnał zobaczyliśmy w kwietniu 1992 roku kiedy w Los Angeles wybuchły zamieszki, podczas których pochodzący z Korei właściciele sklepów (sklepików, kiosków) utracili własność o wartości szacowanej na nie mniej niż 400 milionów dolarów. Ponad dwa tysiące sklepów zostało zaatakowanych i obrabowanych, większość z nich również

zniszczonych, często podpalonych. Zginęły 63 osoby, było ponad dwa tysiące rannych, 12 tysięcy osób aresztowano. Sprawcami tych ataków byli głównie ludzie z przedmieść zdominowanych przez czarnych. Na ulice wyszli bezrobotni, żyjący z pomocy społecznej, źle wykształceni młodzi ludzie, z których większość przerwała naukę przed ukończeniem szkoły średniej. (Mniej więcej w tym samym czasie w Rosji widzieliśmy plagę podpałów pól i budynków indywidualnych rolników, którzy skorzystali z wolności i zabrali się do pracy.) Był to ewidentny gniew na zaradność, wściekłość na ludzi, którzy tak niedawno byli równie biedni jak my, nie mieli nic, a teraz mają. Ci „Azjaci” przyjeżdżali z jedną walizką, pożyczali pieniądze od krewnych, zakładali jakiś kiosk, czy punkt usług, pracowali po szesnaście godzin na dobę i inwestowali w wykształcenie swoich dzieci. Te ich dzieci, nawet w najgorszych szkołach nigdy nie chodziły na wagary i zdobywały świadectwa kwalifikujące je do coraz lepszych szkół.

Badacze przyglądający się temu zdumiewającemu zjawisku zastanawiali się oczywiście, czy to geny, czy kultura, czy jedno i drugie w jakiejś zdumiewającej, trudnej do wyjaśnienia mieszance.

W sierpniu 2017 roku „New Yorker” [opublikował interesujący artykuł o systematycznej dyskryminacji „Azjatów” na Harvardzie](#). Autorka, [Jeannie Suk Gersen](#), która jest profesorem prawa na Harvardzie, opisuje swoje doświadczenia najpierw jako studentki, a później jako pracownika naukowego i pokazuje jak działa mechanizm „rasowej” dyskryminacji za powodzenie. Ona również starannie unika szczegółowego definiowania używanej kategorii „Azjaci”, nie informując jak to jest, że tylko niektórzy „Azjaci” muszą zdobywać o ponad sto punktów więcej niż biali, żeby mogli się dostać na studia na Harvardzie. Gdyby brano pod uwagę wyłącznie wiedzę i zainteresowanie nauką, studenci z Południowo-Wschodniej Azji i

Hindusi stanowiliby ponad 40 procent uczących się na najlepszych uczelniach amerykańskich.

Profesor Peter Arcidiacono, wykładowca ekonomii na Duk University, pomagając przygotować kolejną skargę o dyskryminowania kandydatów na studia z rodzin pochodzących z niektórych azjatyckich krajów wyliczył, że w przypadku identycznych podań o przyjęcie na studia na Harvardzie, podanie azjatycko-amerykańskiego mężczyzny ma 25 procent na pozytywne rozpatrzenie, białego 32, Latynosa 77, a czarnego 95 procent. Władze Harvardu długo odmawiały ujawnienia szczegółów stosowanych procedur. Dziś wiadomo, że „Azjatów” dyskwalifikuje się głównie ze względu na rzekomo „społeczną osobowość”.

Czerwiec przyniósł garść artykułów o problemie z dyskryminacją „Azjatów” na Harvardzie, ujawniając czubek góry lodowej, a tymczasem, [jak donosi magazyn „Quillette”](#), burmistrz Nowego Jorku, Bill de Blasio, postanowił stawić czoła nieszczęściu, jakim jest zalew „Azjatów” w najlepszych nowojorskich szkołach średnich. Jest tam osiem wysoko wyspecjalizowanych szkół, do których przyjmuje się wyłącznie na podstawie wyników w nauce. Z założenia mają tam trafiać tylko najlepsi z najlepszych.

Na przestrzeni ostatnich dziesięcioleci te szkoły w coraz większym stopniu zaczęły dominować „Azjaci”. Dziś w Stuyvesant 72 procent stanowią „Azjaci”, 22 procent biali, dwa procent Latynosi i zaledwie jeden procent czarni. Burmistrz de Blasio uznał to za „monumentalną niesprawiedliwość”.

Jak informuje [Daniel Friedman](#), autor artykułu w „Quillette”, plan de Blasio składa się z dwóch elementów – po pierwsze zwiększyć liczbę studentów z rodzin z niskimi dochodami mającymi gorsze wyniki w nauce. Drugi element zakłada

zniesienie dotychczasowego systemu testów i przyznanie pewnych kwot poszczególnym szkołom podstawowym.

Burmistrz NY twierdzi, że obecny system testów dyskryminuje Latynosów i czarnych. Prywatne organizacje przygotowują uczniów do tych testów, ale są to niesłychanie drogie kursy, kosztujące często powyżej tysiąca dolarów, a prywatni nauczyciele biorą czasem po 100 dolarów za godzinę.

Okazuje się, że to zupełnie nie wyjaśnia przewagi „Azjatów” nad uczniami z białych rodzin, że „Azjaci” wcale tak często nie korzystają z dodatkowych kursów przygotowawczych, a co więcej pomija się tu fakt, że władze NY wydają miliony dolarów na takie kursy dla Latynosów i czarnych.

Badania pokazują, że z reguły uczniowie, którzy najlepiej dają sobie radę z najostrzejszymi testami do szkół średnich (SHSAT), mieli również bardzo dobre rezultaty w pierwszych klasach szkoły podstawowej. Czyli mamy tu do czynienia ze zjawiskiem znacznie bardziej złożonym, niż tylko różnice w poziomie dochodów rodziców.

Daniel Friedman zwraca uwagę na fakt, że te szkoły nie dysponują większymi środkami, nie mają lepszego wyposażenia, że są elitarne, bo ich uczniowie są elitą. W efekcie jedynym efektem działań podejmowanych w imię rasowej sprawiedliwości będzie zlikwidowanie szczególnego charakteru tych szkół. Wcześniej podobną techniką zdołano radykalnie pogorszyć szanse intelektualnego rozwoju zdolnej i motywowanej do nauki młodzieży znosząc lub ograniczając selekcjonowanie do szkół i podnosząc ich dostępność według innych kryteriów niż osiągnięcia w nauce.

„W Nowym Jorku co piąty uczeń ósmej klasy szkoły państwowej

jest 'chronicznie nieobecny', co oznacza, że są to uczniowie, którzy tracą ponad miesiąc nauki rocznie. Ci 'chronicznie nieobecni' to w lwiej części czarni i Latynosi, ale bardzo rzadko Azjaci" – pisze Friedman

Oczywiście powoduje to zwolnienie tempa przerabiania programu, obniżenie standardów i koncentrację uwagi nauczycieli raczej na uspokojaniu niezainteresowanych nauką uczniów niż na pomocy uczniom, którzy chcą się czegoś nauczyć. Dochodzi do tego zawyżanie stopni w tych szkołach, czyli tego kryterium, na którym chce się oprzeć nowy system przyjmowania do szkół elitarnych. Zaniżanie oczekiwań jest najgorszą metodą wyrównywania szans.

„Zamiast obniżać standardy najlepszych szkół miasto powinno tworzyć więcej klas dla wyróżniających się uczniów i to szczególnie w zdominowanych przez czarnych i Latynosów szkołach podstawowych i średnich, tak aby pilni i pracowici uczniowie z niedoreprezentowanych grup mieli szansę na dotrzymanie kroku swoim białym i azjatyckim kolegom i mogli konkurować na tych samych warunkach" – konkluduje Friedman.

Z podobnym problemem wyrównania przepaści edukacyjnej swojej arabskiej mniejszości boryka się również Izrael. Arabowie stanowią ponad 20 procent izraelskiego społeczeństwa, jednak (jak informowało w grudniu 2016 izraelskie ministerstwo edukacji), w latach 2010-2015 udział arabskich studentów na izraelskich uniwersytetach wzrosł zaledwie z 9,3 do 13,2 procenta. Można powiedzieć, że jak na straszliwie dyskryminowaną grupę to raczej dobre osiągnięcie, ale można również zrozumieć niezadowolenie krytykujących tę sytuację. Najciekawsze jednak są osiągnięcia na tym polu najlepszej izraelskiej uczelni technicznej, Technionu, gdzie 20 procent studentów stanowią Arabowie i... gdzie wszelkie akcje afirmatywne traktowane są z najwyższą pogardą jako nieskuteczne i szkodliwe.

[Jak mówi rektor Technionu, profesor Peretz Lavie](#), te rezultaty są wynikiem starannie przygotowanego i niezwykle rygorystycznego programu przygotowania przyszłych studentów do wymagań uczelni zanim będą składali podania. Wszelkie akcje afirmatywne wyłącznie obniżają standardy dla upośledzonych grup.

„Dwanaście lat temu kiedy tylko 7 procent studentów Technionu było Arabami, uniwersytet rozpoczął program NAM, co jest hebrajskim akronimem znaczącym ‘Nadzwyczajna Arabska Młodzież’. Program był finansowany przez żydowskich filantropów, którzy pokrywali wszystkie koszty trwającego 10 miesięcy kursu uzupełniającego wiedzę z matematyki, fizyki, angielskiego i hebrajskiego.”

Uczestnicy tych kursów mają pokryte koszty nauki, stypendium w wysokości 800 szekli (około 800 zł) miesięcznie i darmowy laptop.

Po tym kursie jego uczestnicy (którzy walczą o miejsca na podstawie wyników nauki w szkole średniej), gotowi są do składania podań o przyjęcie na uczelnię, a ich podania oceniane są równie surowo jak wszystkie inne.

Ciekawe, że ci arabscy studenci, którzy przeszli przez taki kurs, znacznie rzadziej przerywają studia przed ich ukończeniem (co jest bardzo poważnym problemem ze studentami przyjętymi na studia według tyfy ulgowej).

Jest tu jeszcze jedno zdumiewające zjawisko (i trochę wietrzę tu jakiś podstęp) na 527 arabskich studentów 61 procent stanowią kobiety, w całej populacji studentów Technionu panie stanowią zaledwie 37 procent. Rektor Technionu jest przekonany, że za tą dysproporcją stoi parcie arabskich dziewczyn do emancypacji, a ta jest możliwa tylko przez

najlepsze możliwe wykształcenie. Badania nad losami absolwentów wykazały, że spośród 1500 arabskich absolwentów Technionu niemal wszyscy zdobyli pracę w pierwszym roku po ukończeniu studiów, z tego około 20 procent zostało zatrudnionych w międzynarodowych firmach high-tech.

Wyrównanie szans dla młodzieży mającej trudniejsze warunki startu jest celem w najwyższym stopniu godnym pochwały. Nie starczą tu jednak dobre chęci, wyłania się pytanie jak to zrobić skutecznie, tak żeby przerwać błędne koło zanurzenia w kulturze ofiary losu. Środowisko może być młyńskim kamieniem u szyi nie tylko z powodu złej sytuacji ekonomicznej i nie tylko z powodu mniejszych zdolności, ale przede wszystkim z powodu dominujących w danym środowisku wartości.

Program Technionu skutecznie pomaga najzdolniejszym i najbardziej upartym dostać się na znakomitą uczelnię. Poważniejszym problemem jest walka z kulturą pogardy dla nauki i norm życia społecznego. Ostatnio ["New York Times" donosił](#) o nowym drakońskim prawie wprowadzonym w Danii. Dzieci powyżej jednego roku z imigranckich gett będą miały obowiązek przebywania w państwowych żłobkach przez minimum 25 godzin w tygodniu (czas snu będzie odliczony). Zajęcia w tych żłobkach będą w języku duńskim, dzieci będą miały kontakt z kulturą duńską, a w programie używa się unikanego dotąd pojęcia asymilacji (zamiast integracji). Odmowa będzie pociągała za sobą kary w postaci utraty prawa do niektórych zasiłków. Czy te działania będą skuteczne? Tego się nie da przewidzieć, z pewnością będą protesty, a i wykonanie da się spaścić. Cel jest jasny, sposobu szukamy metodą prób i błędów, niektóre metody możemy już dziś zaliczyć do błędów.

Artykuł pochodzi z portalu listyznaszegosadu.pl